

(dokończenie ze str. 2)

przymykać oczy na fakt, że bardzo wiele „naturalnych” poczęć zachodzi nie w wyniku miłosnego aktu, ale brutalnego gwałtu, często w majestacie formalnego małżeństwa. Wydaje się w istocie, że to decyzja podjęcia leczenia drogą zapłodnienia *in vitro* jest większym wyrazem miłości partnerów, ponieważ związana jest z wielorakimi udręczeniami i wyrzeczeniami, oraz wymaga od nich wiele wzajemnego zrozumienia.

Po drugie – wyrażana jest troska o los nadliczbowych zarodków, które nie zostały użyte w pierwszej próbie uzyskania ciąży i które zostały zamrożone. Ta obawa wynika z nadania kilku- czy kilkunasto-komórkowemu zarodkowi pełnoprawnego statusu osoby ludzkiej („dziecko nienarodzone”, „życie poczęte”) i traktowania go na równi choćby z jego rodzicami, którzy w momencie jego powstania byli osobami w pełni fizycznie i mentalnie ukształtowanymi oraz obdarzonymi świadomością. Jest to kluczowa różnica filozoficzna i światopoglądowa – i wydaje się, że żadne fakty biologiczne czy medyczne nie mają (i przypuszczalnie nigdy nie będą miały) wpływu na zmianę stanowiska adwersarzy. Jednak warto tu wyjaśnić dwie sprawy. Po pierwsze – uzyskanie wyjściowo większej liczby zarodków jest konieczne, ponieważ ocenia się, że około 50% zarodków uzyskiwanych *in vitro* (a u kobiet dobiegających 40 lat życia nawet 70%) ma nieprawidłowy zestaw chromosomów i w sposób samorzutny zostaną one wyeliminowane w dalszym rozwoju (po prostu obumrą). Z tego względu nie są one „potencjalnymi” istotami ludzkimi. Należy w tym miejscu dodać, że wcześniej występująca selekcja wielu zarodków występuje – choć w mniejszym wymiarze – również w warunkach fizjologicznych u całkowicie płodnych par, a więc nie jest spowodowana wyłączną procedurą *in vitro*. W związku z tym, tzw. „umiarkowane, kompromisowe” stanowisko, wyrażające przyzwolenie na dokonanie procedury *in vitro*, ale z wygenerowaniem i przeniesieniem do macicy tylko 2-3 nie selekcyonowanych zarodków (albo nawet tylko jednego) w tak znacznym stopniu obniży efektywność całej metody, że skutecznie zniechęci do niej wiele par, lub zmusi (naturalnie tylko zamożniejszych) do podjęcia leczenia choćby w sąsiednich krajach. Po drugie, nie wszystkie uzyskane zarodki pozostają „niewykorzystane”: mogą one zostać użyte przez biologicznych rodziców do uzyskania następnej ciąży, lub „adoptowane” przez inną bezpłodną parę, co być może będzie w przyszłości częściej niż obecnie stosowane.

Po trzecie – wyrażany jest sprzeciw wobec dokonywania tzw. diagnostyki preimplantacyjnej, tzn. przeprowadzanie

badania genetycznych na bardzo wczesnych zarodkach będących w stadium poprzedzającym ich zagnieżdżenie się w macicy. Badania takie mają na celu eliminację zarodków obarczonych bardzo poważną i nieuleczalną wadą genetyczną, której „ukrytym” nosicielem jest jedno lub obydwój rodziców. Ten rodzaj postępowania zapobiega aborcji w późniejszym okresie ciąży, która w tych przypadkach jest w Polsce prawnie dopuszczalna (co nie znaczy, że w praktyce zawsze możliwa do przeprowadzenia), ale która jest zabiegiem znacznie niebezpieczniejszym dla kobiety i niewątpliwie bardzo poważnym i stresującym przeżyciem psychicznym. Stanowisko przeciwników dokonywania selekcji zarodków oznacza pozostawienie sprawy w rękach Natury i narażenie rodziców na szok związany ze sztucznym albo naturalnym poronieniem, lub ogromnym wysiłkiem i stresem związanym z opieką nad poważnie upośledzonym dzieckiem, w pewnych przypadkach gasnącym na ich oczach. Drugie rozwiązanie, które mają do zaproponowania przeciwnicy diagnostyki preimplantacyjnej, to rezygnacja takiej pary z posiadania biologicznego potomstwa. Można dyskutować, czy, i kto, jest uprawniony do materializowania swoich poglądów w postaci zakazów i dyrektyw regulujących postępowanie rozrodcze innych ludzi, także tych, którzy nie podzielają poglądów restrykcyjnego ustawodawcy. Również w tym przypadku sprzeciwu przeciwko tej diagnostyce i ewentualnej eliminacji genetycznie upośledzonego zarodka wynikają z określonego światopoglądu i naszym zdaniem nie dają się racjonalnie uzasadnić.

Nie ulega wątpliwości, że dostępne obecnie metody wspomaganego rozrodu stwarzają wiele nowych i trudnych problemów, takich jak „adopcja” zarodków, dawstwo komórek rozrodczych, zastępcze matki, prawa do „dysponowania” zarodkiem w przypadku śmierci jednego z biologicznych rodziców, i wiele innych, które wymagają unormowania legislacyjnego. W Polsce, podobnie jak w innych krajach, nie ma w tej sprawie perspektywy na rozsądny kompromis. Mamy tu bowiem do czynienia ze sporem natury filozoficzno-swiatopoglądowym, a na ogół dzieje się tak, że dominujący w danym kraju i w danym czasie światopogląd ma zasadniczy wpływ na kształtowanie prawa w tej materii. Głos nauk biomedycznych nie ma w tej sprawie większego znaczenia.

ANDRZEJ K. TARKOWSKI  
i MAREK MALESZEWSKI  
Zakład Embriologii Instytutu Zoologii  
Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego

## Daremne prostowanie błędów

Od wielu już lat habilitacje są przedmiotem zawziętych ataków. Nawet jednak ci, którzy nie domagają się ich likwidacji, wskazują na potrzebę zmian w trybie funkcjonowania tej „instytucji”. Jak dotąd wszakże nie spotkałem się z postulatem powrotu do dawnej praktyki, kiedy to przewód habilitacyjny rozpoczynano na podstawie maszynopisu, dając w ten sposób autorowi rozprawy możliwość naprawienia błędów, wytkniętych mu przez jej trzech (obecnie czterech) recenzentów. Ponieważ mam za sobą lekturę bardzo wielu opinii z rozpraw habilitacyjnych, mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, iż bardzo często wytykają one habilitantowi te, czy inne potknięcia, nieraz dość kompromitujące. Cóż z tego, skoro jest to „musztarda po obiedzie”, ponieważ książka habilitanta została już dawno wydrukowana. Trud recenzentów okazuje się w znacznym stopniu daremny, a o ich uwagach i sprostowaniach wiedzą tylko nieliczni.

Kolejne generacje czytelników otrzymują więc produkt

nieraz pełen błędów i cóż będzie ich obchodził fakt, iż takie, a nie inne przepisy obowiązywały przed wieloma laty. Stefan Kisielewski na jednym ze zjazdów literatów porównał ongiś literaturę PRL do psa wychowanego po szafą, który pod jej ciężarem stał się jamnikiem. Po latach, kiedy owej szafy (czytaj: Polski Ludowej) nie stanie, wszyscy będą mieli pretensje do owego „jamnika”, nie zaś do nieszczęsnej szafy.

Proponowałbym przeto zrezygnowanie z wymogu druku rozprawy przed rozpoczęciem samego przewodu. Natomiast zakończenie postępowania habilitacyjnego następowaloby po publikacji dzieła. Przeciwnicy takiego rozwiązania powołują się na fakt, iż oceniający pracę recenzenci mogą korzystać z opinii drukowanych po czasopiśmie naukowych. Wiemy jednak dobrze, że ukazują się one najwcześniej po upływie 12 czy nawet 18 miesięcy po ukazaniu się książki habilitanta.

JANUSZ TAZBIR